Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIEM WSZYSTKO

50 GR

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 6 Warszawa, Niedziela 14 lutego 1937 r. Rok II.

Nieznani sprawcy

Tajemnica zbrodni politycznych we Francji

Tajemnicze morderstwo na osobie rosyjskiego finansisty i działacza politycznego Nawaszyna, który zbyt wiele wiedział — nie jest pierwszym ani ostatnim we Francji z długiej serii analogicznych wypadków, na przestrzeni ostatnich 25 lat.

Niektóre z tych „likwidacyj" niewygodnych jednostek pozorowano, jako samobójstwa: do tej kategorii należą **nagłe i gwałtowne zgony** Gabryela Syvetona (1904), Almareydy (1917), Filipa Daudet'a (1923), Stavisky'ego i Prince'a (1934).

SAMOBÓJSTWA, W KTÓRE NIKT NIE WIERZY...

W listopadzie 1904 r. poseł nacjonalistyczny Gabryel Syveton, uważany za leadera prawicy w izbie, w czasie rozpraw nad szpiegowaniem oficerów przez lewicowego ministra wojny generała André, wymierzył mu publicznie siarczysty policzek. W przeddzień procesu, mającego odsłonić **krecią robotę demoralizowania armii francuskiej przez fanatycznych sekciarzy** — Gabryel Syveton był znaleziony bez życia w swoim mieszkaniu. Oficjalna wersja brzmiała: samobójstwo. Pamięć zmarłego zohydzono, nie cofając się przed najhaniebniejszym oszczerstwem (kazirodztwo i t. d.).

Dopiero w 30 lat później, tygodnik **Candide** z 5 kwietnia 1934 r. ogłosił zeznanie leżącego na łożu śmierci w Hanowerze, w r. 1919, niejakiego François Maurice'a, który oświadczył, że na rozkaz zgóry wkradł się do mieszkania Syvetona tragicznej nocy i odkręcił kurek w kominku, opalanym gazem. Wypłacono mu za to 10.000 fr.

*

Dn. 7 sierpnia 1917 r., w najcięższym dla Francji okresie wojny, gdy **defetyzm srożył się na froncie i na tyłach**, aresztowano Almareydę, b. sekretarza redakcji „Le Courrier Européen", później redaktora dziennika „Le Bonnet Rouge", szerzącego defetyzm, jak się okazało, za niemieckie pieniądze. Almareyda, zwany „nieoficjalnym profektem policji", był zausznikiem ówczesnego ministra spraw wewn. Malvy'ego (skazanego później na banicję).

Almareyda, wiedząc, co go czeka, rozłożył u siebie na biurku — w chwili aresztowania — swój „testament", w którym **obciążał szereg najwyższych dostojników**, oraz listy Caillaux'a, Paix - Séailles'a i Viviani'ego, wybitnych leaderów lewicy radykalnej...

W nocy dn. 13 sierpnia zmarł nagle w więzieniu Fresnes, ów **Katylina III-ej Republiki i szpieg niemiecki (L. B. 137) Almareyda recte Vigo.** Samobójstwo! Ludzie, świadomi rzeczy, uśmiechali się sceptycznie. Almareyda zbyt dużo wiedział. Musiał zginąć!

Jakoż okazało się później, że **zadusił go sznurowadłem od trzewika inny więzień, Bernard,** z rozkazu policji politycznej (Sureté Générale).

*

Dn. 24 list. 1923 r. cały Paryż był poruszony wiadomością, że do szpitala Lariboisière przywieziono w agonii 14-letniego Filipa Daudeta, syna Leona, redaktora naczelnego „L'Action Française", leadera skrajnej prawicy. Samobójstwo! Młodzieniec był rzekomo anarchistą i miał poważne scysje z ojcem.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, nieszczęśliwego chłopca wciągnięto w pułapkę przy pomocy rzekomych anarchistów na żołdzie policji politycznej i zastrzelono... Była to **zemsta potężnych wrogów politycznych,** a między innymi nieżyjących już Brianda i Barthou, za kampanię, prowadzoną przeciw nim przez Leona Daudet'a na łamach „L'Action Française". Nie mogąc inaczej, chciano złamać niebezpiecznego przeciwnika, zabijając mu syna...

*

W styczniu 1934 r. wybuchnął we Francji niebywały skandal, znany pod nazwą „affaire Stavisky". Bohaterem skandalu był niejaki **Serge Alexandre vel Stavisky,** z pochodzenia żyd rosyjski, spekulant na wielką skalę, założyciel banków i spółek akcyjnych, dla których, kosztem łapówek, sięgających wielu milionów, uzyskał poparcie najwyższych sfer. **Kilku ministrów i 150 posłów głównie lewicowych** (z większości rządowej) **maczało palce w tej aferze.** Kiedy nareszcie, pod naciskiem rozdrażnionej opinii, prokurator generalny Pressard (szwagier premiera Chautemps'a) wydał rozkaz aresztowania oszusta, nadeszła do Paryża wiadomość, że Stavisky „odebrał sobie życie" w willi Vieux Logis, w Alpach, koło Chamonix.

Nikt nie dał wiary temu samobójstwu...

Było jasne, że Stavisky, zeznając przed sądem, **mógł skompromitować wielu najwyższych dostojników** III-ej Republiki.

Ktoś podjął się likwidacji żenującego osobnika. Złożono to znów na karb „samobójstwa".

Ale to jeszcze nie koniec. W kilka tygodni później, dn. 20 lutego 1934, radca finansowy Sądu Paryskiego, Albert Prince, członek Komisji Śledczej w tej sprawie, był znaleziony bez życia koło Dijon, na szynach kolejowych. Ciało Prince'a było zmiażdżone kołami pociągu. Oficjalna wersja brzmiała: samobójstwo.

Okazało się później, że radca Prince, człowiek prawy i odważny, miał nazajutrz wystąpić publicznie z poważnymi zarzutami przeciw prokuraturze za skandaliczną tolerancję wobec oszusta Stavisky'ego...

Ale do rozprawy nie doszło.

*

Do rzędu tajemniczych samobójstw zaliczyć także należy dramatyczny zgon Rogera Salengro, socjalistycznego ministra spraw wewn. w gabinecie p. Bluma. W listopadzie r. z. znaleziono ministra martwego w kuchni mieszkania prywatnego w Lille. Oficjalna wersja głosiła: samobójstwo, wskutek oszczerczej kampanii pewnych organów prasy opozycyjnej, **zarzucającej ministrowi zdradę i dezercję (!) podczas wojny,** w r. 1915. Ponieważ jednak Salengro nie wytoczył sprawy o oszczerstwo, chociaż domagano się tego z różnych stron, ponieważ, dalej, nikomu **nie pokazano listu nieboszczyka do premiera Bluma,** ponieważ sąsiedzi słyszeli tragicznej nocy jakieś głosy i hałasy w mieszkaniu ministra, a co najważniejsze — rachunek z gazowni nie notował większego ujścia gazu — więc nad śmiercią ministra Salengro **pozostała gęsta zasłona tajemnicy, przez którą przedostają się mniej lub więcej fantastyczne domysły.** Miejmy nadzieję, że i tu prawda wypłynie kiedyś na wierzch.

ZBRODNIE NIEZNANYCH SPRAWCÓW

Do drugiej kategorii tajemniczych zbrodni politycznych we Francji należą **egzekucje osób niewygodnych lub niebezpiecznych przez „nieznanych sprawców",** przyczym nie próbowano nawet symulować samobójstwa .Poprostu — sprawców zabójstwa nie wykryto. Kropka.

Klasyczną zbrodnią tego rodzaju był **„crime du passage Ronsin",** w r. 1908. W pasażu mieszkał znany w Paryżu malarz Steinheil, z matką. Pewnego ranka znaleziono oboje martwych. Na zwłokach malarza **widoczne były ślady walki i uduszenia;** matka jego zmarła podobno na serce, post factum, jak mówią jedni, udławiła się sztucznymi zębami według innych wersyj. Sprawców nie wykryto, sprawa poszła w niepamięć, ale...

Ale tu i owdzie poczęto przebąkiwać, że przecież nieboszczyk Steinheil **był mężem słynnej piękności,** w której objęciach umarł niespodziewanie i drastycznie prezydent Felix Faure. **Pani C. S.** — tak brzmiały inicjały tajemniczej kobiety w raporcie policyjnym — obecnie małżonka pewnego lorda, opuściła w tym czasie Francję i nie wróciła więcej. Ona jedna mogłaby coś o tym powiedzieć... Według pogłosek, Steinheil, znając różne sekrety stanu, dzięki stosunkom swojej żony, **szantażował wysoko postawione osoby,** aż wreszcie znudziło się to któremuś dostojnikowi: odpowiedni sygnał poszedł na **quai d'Orfèvres** (policja polityczna) i niewygodny jegomość zamilkł na zawsze...

Bardziej skomplikowany jest mechanizm zbrodni, popełnionych na pewnych osobach przez jednostki bądź nieodpowiedzialne, bądź też działające pod wpływem afektów uczuciowych. Do tej kategorii należą: **zabójstwo Mariusza Plateau, sekretarza ligi Kamelotów Królewskich,** przez prostytutkę Berthon, działającą z ramienia policji politycznej i uniewinnioną przez przysięgłych; dalej — **zabójstwo b. Atamana Petlury** przez konfidenta policji politycznej Schwartzbarta; sąd przysięgłych uniewinnił mordercę, jako działającego pod wpływem afektu uczuciowego na widok człowieka, któremu przypisywał pogromy żydów na Ukrainie w r. 1919; **zabójstwo wybitnego faszysty włoskiego Bonservisi** przez anarchistę, którego uniewinniono dla motywów analogicznych; **zabójstwo prezydenta Doumera** przez obłąkanego Rosjanina Gorgułowa...

Leon Daudet w książce „La Police Politique. Ses moyens et ses crimes" (Paryż 1934) zalicza jeszcze dwa tajemnicze zgony do tej kategorii, a mianowicie **śmierć generała Mangina** wskutek otrucia na bankiecie, i **śmierć prezesa Senatu, p. Antonina Dubosta,** w pewnej spelunce na Montmartrze.

Generał Mangin, bohater z pod Verdun, miał wielu przeciwników; to samo Dubost ,który przewodniczył na rozprawie przeciw Caillaux i Malvy w r. 1917...

Są to jednak domysły, oparte na przesłankach, trudnych do sprawdzenia, więc przytaczamy je wyłącznie na odpowiedzialność autora.

*

Dymitr Nawaszyn, finansista, dyrektor Banku Północno - Europejskiego, został **zamordowany sztyletem w Lasku Bulońskim,** ściśle w 7 lat po tajemniczej zbrodni, której ofiarą padł inny wybitny Rosjanin w Paryżu, generał Kutiepow. **Nawaszyn był doradcą finansowym p. Spinasse'a, ministra opieki społecznej,** i zażyłym przyjacielem p. de Monzie, b. ministra.

W numerze z dn. 15 lutego 1936 r. wydawnictwa „Revue internationale des societès secrètes", w artykule p. t. „Ekonomia kolektywistyczna wobec masonerii", czytamy w rozdziale p. t. „System Dymitra Nawaszyna":

— „Dymitr Nawaszyn był bardzo czynny w sowieckiej polityce gospodarczej. Obecnie pełni on we Francji, z ramienia Z. S. S. R. jakieś ta-

(dalszy ciąg na str. 2).

Gdzie są klejnoty?

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że francuskie władze śledcze wszczęły poszukiwania niezwykle cennych klejnotów ś. p. Jakóba hr. Potockiego, które nie były objęte zapisem fundacji.

Wartość tych klejnotów przekracza ponoć sumę 10 milionów złotych. Szczególnie cennym ma być jeden sznur pereł, oceniany „tylko" na 2 miliony złotych.

Klejnoty te były ponoć zdeponowane w Banque Commerciale de Paris, w prywatnym safie ś. p. Jakóba hr. Potockiego.

Wiedział o tym zbiegły z Polski b. plenipotent hrabiego Rosembergh, który miał klejnoty te z safe'u zabrać.

Energicznie prowadzone śledztwo niewątpliwie ujawni dalsze, niezmiernie ciekawe szczegóły olbrzymiej fortuny polskiego magnata, zarządzanej i grabionej bezkarnie przez obcych przybyszów.

Bijemy na alarm!

Demoralizowanie młodzieży szkolnej

Fakty.

Białogród — stolica Jugosławii. Nie odznacza się szykiem i ruchem ulicznym wielomilionowej stolicy Wielkiej Brytanii, czy Francji, daleko jej nawet od New Jorku, czy bodaj Brukseli, a jednak...

Może być przykładem.

BELGRAD PO WOJNIE

Rok 1918. Jesień. Zdewastowany, zrujnowany, zniszczony gród działaniami oblężniczej armii austriackiej i niemieckiej.

Regent przyjechał do stolicy zaledwie przed kilku tygodniami. Świeżo wkroczyły wojska młodej Jugosławii.

Kilka dzienników zamieszcza dzień po dniu **całe kolumny drobnych ogłoszeń: „Marko Żirkowicz zawiadamia, że nie będzie żył ze swoją żoną".** Stop. Takie ogłoszenie musiało się ukazać w prasie codziennej trzy razy, aby Marko Żirkowicz uzyskał rozwód. Takich Marków Żirkowiczów były setki, tysiące.

Oto, po powrocie do miasta rodzinnego, dowiadywał się Marko Żirkowicz, że jego ślubna **małżonka nie dochowywała mu wierności** w czasie okupacji austro - niemieckiej, więc postanawiał rozwód. Serbki zaś stały się wówczas szczególnie uważające i nieprzystępne, byle by nie ściągnąć na siebie jakiegokolwiek podejrzenia opinii publicznej, stawiającego ich uczciwość pod znakiem wątpliwości.

I... OBECNIE

Dziś, po latach osiemnastu.

Mila Dimitriewicz, córka biednych i przyzwoitych rodziców, **uchodziła za jedną z najurodziwszych dziewcząt białogrodzkich.** Kochała się nie bez wzajemności w **bogatym młodym inżynierze Stojanowiczu.** Rodzice inżyniera nie godzili się na małżeństwo syna i ten ustąpił. Zwykła historia. **Mila zerwanie z narzeczonym wzięła tak do serca, że odebrała sobie życie.**

Prokurator zaaresztował młodego Stojanowicza pod zarzutem współwiny w samobójstwie. Znaleźli się świadkowie, którzy zeznali, że Stojanowicz przyrzekł pięknej pannie małżeństwo. Gdy Stojanowicz zaprzeczył temu, rozpętała się istna burza: dzienniki stołeczne poświęcały całe szpalty na omawianie tego wydarzenia, rodzice inżyniera **otrzymywali co dzień masę listów z pogróżkami,** młode panny i matki pisały listy pełne oburzenia do sędziego śledczego.

I wówczas doszło do drugiego wypadku: podczas konfrontacji na sali sądowej, ojciec samobójczyni oddał z rewolweru trzy strzały **do sprawcy tragicznej śmierci córki,** a czwartym roztrzaskał sobie sam głowę. Inżynier Stojanowicz został odwieziony do szpitala w stanie b. ciężkim.

OBURZENIE OGÓŁU

Teraz dopiero wybuchła cała wściekłość powszechnego oburzenia. Nie było w całym Białogrodzie ani jednej osoby, która by nie stanęła po stronie ojca. Szpital, w którym leżał ranny Stojanowicz, trzeba było obstawić policją, albowiem setki osób zbierały się przed wrotami, **domagając się śmierci uwodziciela.** Jego rodzice musieli wyjechać z miasta, wszyscy bowiem zerwali z nimi wszelkie stosunki, zarówno towarzyskie, jak i handlowe.

Pogrzeb Mili i ojca jej stał się imponującą manifestacją.

Na jakiś czas sprawa nieco ucichła: oczekuje się rozprawy sądowej.

W tym zdarzył się podobny nowy wypadek.

NOWA SPRAWA MIŁOSNA

Młoda i piękna fryzjerka popełniła zamach samobójczy na schodach, wiodących do mieszkania innego bogatego Serba, który przyrzekł jej małżeństwo.

Znowuż opinia publiczna stolicy Jugosławii została poruszona do żywego. Odżyła jednocześnie i tamta sprawa.

Prasa jugosłowiańska, szczególnie belgradzka wszystkich kierunków i odcieni politycznych **żąda surowych kar na uwodzicieli,** którzy młodym dziewczętom obiecują małżeństwa, a następnie je porzucają.

Tak reaguje niezepsuty mimo wszystko bratni naród słowiański na próby swoich zepsutych nadmiarem bogactwa młodych, nieobliczalnych obywateli zerwania z tradycją poszanowania białogłowy i narażania jej dobrego imienia na szwank.

*

W Warszawie, w szkołach powszechnych i ogólnokształcących **panują nagminnie złe obyczaje.** Konstatuje te objawy wielkomiejskiego zepsucia zarówno personel nauczycielski, jak i lekarze ginekolodzy i wenerolodzy.

Od czasu do czasu prasa porusza te sprawy, wywlekając je nie zawsze w dość oględnej formie przed forum opinii publicznej. Ale to dzieje się rzadko. Pióro dziennikarza, instynkt publicysty powstrzymuje się przed ujawnianiem takich spraw, jako brukowych sensacyj. I słusznie. Są nadto bolesne w swojej istocie. Noszą znamiona groźnej w skutkach choroby społecznej. Nie należy je zbyt powierzchownie i zbyt lekko traktować.

Jednak dziś, już to zagadnienie zepsucia obyczajów w naszych szkołach nabrało takiego nasilenia, że **staje się publiczną tajemnicą,** omawianą we wszystkich środowiskach naszego społeczeństwa. Nabrało takiej aktualności, że trzeba wszędzie bić na alarm! Odnośne czynniki miarodajne mają głos! Coś trzeba przedsięwziąć! Coś działać, radzić i przeciwdziałać!

NIE WOLNO MILCZEĆ

Jesteśmy zdrowym narodem, jeno bakcyle nieprawości lęgną się w bagnie nędzy i przeciwnościach losowych, znajdują wdzięczną pożywkę w powszechnym dążeniu do zwiększenia zarobków za wszelką cenę... Pedagodzy nasi nie mogą dzisiaj milczeć! Wiedzą przecież, co się wśród powierzonej ich pieczy młodzieży dzieje, wiedzą, dyskutują między sobą, ale nie mogą się zdobyć na inicjatywę i czyn, gdyż powstrzymują ich względy hierarchiczne.

Nie jest już dziś tajemnicą, co się działo do niedawna w **państwowym gimnazjum im. Joachima Lelewela!**

„Wiem Wszystko" poruszyło przed paru tygodniami skandaliczne stosunki rozpusty w jednej ze szkół powszechnych w Warszawie. W tece redakcyjnej **mamy nowe materiały o niebywałych wyczynach erotycznych woźnego w kilku szkołach powszechnych! Nie chcemy drukować tych materiałów, natomiast odstępujemy je panu kuratorowi okręgu szkolnego jednocześnie,** aby sprawa znalazła właściwe formy i winni tolerowania tych ohydnych stosunków znaleźli należyte napiętnowanie i zasłużoną karę.

Najgorszą jest w takich wypadkach tolerancja i **dążenie do tuszowania i zamilczania.** Każde bowiem zło wymaga przeciwdziałania.

Polska opinia publiczna jest niepokojona oddawna rozwojem w szkołach tej choroby społecznej, której na imię rozpusta! Podawane fakty nie są odosobnione. Musi być powołany do życia jakiś komitet, który w sposób pedagogiczny, wychowawczy przygotuje metodę i środki walki z tą epidemią. Chodzi właśnie o te metody!

*

Umyślnie poruszyliśmy omawiane zagadnienie w ten sposób, że przytoczyliśmy sposób reagowania opinii publicznej w Białogrodzie na metodę szerzenia rozpusty wśród młodzieży pracowniczej. Na tym tle, tym jaskrawiej uwydatnia się **nasza powolność i ociężałość w reagowaniu** na „te" sprawy! Jakaś małomieszczańska pruderia, bo nie obojętność!

Tyle się deklamuje patetycznie o młodzieży naszej, jako o **„przyszłości" narodu,** — słusznie, ale pod warunkiem, że ta młodzież będzie wychowywana w zdrowej atmosferze i moralnej i obyczajowej.

Trudno, muszą być podjęte bardzo energiczne środki, aby uchronić tę młodzież od bakcyli rozpusty!

Ar.

Absurd gospodarczy

Samowystarczalność Niemiec

Niemiecki Instytut Badania Koniunktur Gospodarczych ogłosił niedawno interesujące dane, dotyczące tak popularnego hasła, jakie rzucił Hitler o **samowystarczalności gospodarczej Niemiec.**

Według opinii tego Instytutu nie mogą być wyeliminowane z przywozu z zagranicy wszelkie oleje jadalne, gdyż celem wyprodukowania potrzebnej ilości roślin oleistych należało by zużyć przynajmniej około miliona hektarów dodatkowych terenów; dla wyprodukowania potrzebnej ilości samego siemienia lnianego należało by zasiać conajmniej milion hektarów nowych terenów.

I tak w ciągu ostatnich pięciu lat Niemcy zwiększyły produkcję tych roślin 10-krotnie, ale jest to zaledwie drobna część ogólnego zapotrzebowania. Poza tym Niemcy posiadają jeszcze pewne źródła tłuszczowe w postaci hodowli świń i gospodarki mlecznej oraz produkcji tranu, dostarczanego przez kilka specjalnych flotyli dalekomorskich.

W Niemczech obecna hodowla owiec obejmuje 4 miliony sztuk i pokrywa zaledwie 9% zapotrzebowania na wełnę. W najlepszym razie ilość owiec może zwrosnąć do 10-ciu milionów, co będzie mogło sprostać zaledwie czwartej części ogólnego niemieckiego zapotrzebowania na wełnę. Lepiej natomiast stoi sprawa w dziedzinie zapotrzebowania na len i konopie, natomiast import bawełny nie może być bardzo ograniczany i jeszcze długie lata Niemcy będą musiały bawełnę sprowadzać z obcych krajów.

Produkcja drzewa pokrywa dotychczas zaledwie 65% wszystkich potrzeb. Również i w tej dziedzinie wzrost produkcji będzie mógł nastąpić dopiero po dłuższym okresie czasu. Odpadki drzewne mogą służyć za podstawę produkcji cukru drzewnego, oraz jako elementy przy produkcji alkoholu i drożdży. Dzięki wzmożeniu produkcji alkoholu z drzewa, Niemcy będą mogli zaoszczędzić pewne ilości kartofli.

Wzrost produkcji skór zwierzęcych jest nie do pomyślenia bez zwiększonego uboju mięsa, czego Niemcy pragną uniknąć z uwagi na konieczność tworzenia rezerw wojennych. Dlatego też Instytut zaleca zwiększenie produkcji namiastek.

Najkorzystniej przedstawia się problem kauczuku, gdzie import zastępowany jest produktem syntetycznym.

Natomiast Instytut stwierdza, że w dziedzinie pozostałych surowców ewentualne uniezależnienie się od importu musi objąć nie mniejszy okres czasu, jak dwadzieścia lat w najlepszym wypadku.

Tak opiniuje hitlerowski Instytut Badania Koniunktur Gospodarczych. Nasuwają się wnioski, same przez się interesujące i pouczające. Dowodzą one bowiem, że Niemcy nie są przygotowane do wojny europejskiej i raczej swoim tupetem i butą wytwarzają nastroje alarmistyczne, którymi szantażują i... wygrywają.

T.

(Dokończenie ze str. 1-ej).

jemnicze funkcje handlowe i finansowe, chociaż chętnie przybiera pozory dobrodusznego teoretyka i statysty. W r. 1932 wydał dwa tomy studiów ekonomicznych z przedmową p. de Monzie, który jest człowiekiem, całkowicie oddanym Nawaszynowi...".

A oto konkluzja:

— „Dymitr Nawaszyn rozporządza bardzo potężnymi wpływami. Sprawuje on władzę nieomal magiczną („qui tient du sortilege"...) nad sporą grupą francuskich mężów stanu, zwłaszcza tych, którzy byli w Rosji i zawarli tam wielkie tranzakcje i umowy".

Charakter Nawaszyna, jako agenta Sowietów, zaznacza ze swej strony komunistyczna „Humanité", **rzucając podejrzenie o zabójstwo w stronę Gestapo.**

Ze swej strony Trockij, przebywający obecnie w Meksyku, oświadczył:

— „Dymitr Nawaszyn wiedział zbyt wiele o sekretach Moskwy. Niedawno agenci Gepeu skradli moje archiwa w Paryżu. Wczoraj zabili Nawaszyna...".

Gestapo, Gepeu, czy francuska policja polityczna — jedno jest pewne: **Nawaszyn wiedział za dużo.** I dlatego został „zlikwidowany".

Sprawa Nawaszyna nadaje się za tym do kolekcji tajemniczych zbrodni politycznych, w które obfituje III-a Republika francuska nie mniej od dawnej Weneckiej Republiki Dożów.

Al Kazar.

Nauka szczękania zębami

Jak zarząd m. Warszawy opiekuje się oświatą

Tak się jakoś składa, że uwadze WIEM WSZYSTKO nie mogą ujść nawet i takie wydarzenia, które z dużym nakładem wysiłku trzeba wyśledzić, podpatrzyć, ba, nawet podsłuchać.

Chodzi w tym wypadku o **szczególnie charakterystyczne postępowanie wydziału IX oświaty i kultury zarządu miejskiego w m. st. Warszawie,** który z jednej strony potrafi się na każdym kroku chełpić ze swej ruchliwości w prasie i nawet w odczytach pani Janiny Strzeleckiej przed mikrofonem Polskiego Radia, a z drugiej strony w karygodny i dziwny sposób lekceważy swe obowiązki w zakresie udzielania słusznej pomocy pożytecznym i naprawdę twórczo pracującym instytucjom oświaty pozaszkolnej.

Istnieje w Warszawie Stowarzyszenie Młodych Słowian. Prowadzi ono bezpłatne kursy języków słowiańskich, a nadto dla kilkuset swych członków **organizuje komplety nauczania języków obcych,** urządza wykłady z ekonomiki słowiańskiej, ma czytelnie, wielką bibliotekę, urządza akademie itp. imprezy oświatowe.

Tę akcję „młodzi Słowianie" prowadzą od 15 już lat, a chociaż nikt z tych ludzi nie reklamuje się w prasie — przecież kursy językowe prowadzą już 6 lat, a w roku bieżącym **mają ponoć przeszło 800 słuchaczów.** Jak na stolicę jest to cyfra imponująca, zwłaszcza, że instytucja ta pracuje bez zasiłków pieniężnych, opiera się na bezinteresownym zaofiarowaniu pracy lektorskiej. **Klasyczny i godny przykład samokształcenia się w organizacji społecznej.**

Instytucji tej wydział IX oświaty i kultury udziela bezpłatnie lokalu i światła oraz w zimie opału. Świadczenie to jest bardzo proste. Poprostu **przydziela się taką lub inną szkołę powszechną na godziny wieczorowe i** sprawa jest załatwiona. Ciężar kłopotów innych spoczywa na zarządzie Stowarzyszenia.

W r. b. zmieniono lokal Stowarzyszeniu. Zamiast lokalu szkoły nr. 45 przydzielono lokal szkoły nr. 46. Ocucono się wprawdzie w większym lokalu, ale mocno starym, w którym **ławki były stare i skrzypiące, a w salach panowało zimno.** Skarżą się dzień po dniu członkowie Stowarzyszenia swemu zarządowi, ale zarząd rozkłada bezradnie ręce i zapewnia, że odniósł się do magistratu z „uprzejmą prośbą".

Kiedy tak dzień za dniem schodził, a **w salach uczyć się musieli biedni niteligenci w... paltach,** a honorowo pracujący lektorzy zapadali na grypę, jeden z dziennikarzy skromną notatkę na ten temat pomieścił w prasie codziennej. Ta niewinna interpelacja wywołała prawdziwe **przerażenie w zarządzie Stowarzyszenia.** Przestraszeni panowie prezesi i kierownicy uciszali i uspakajali członków i zapewniali na prawo i na lewo, że **magistrat jest dobrodziejem i napewno wniknie w położenie instytucji.** Umyślnie podkreślamy dziwny serwilizm kierowniczych kół „młodych Słowian".

Notatka nie pozostała bez echa. Zawieziono do szkoły lepsze ławki — stare, ale odnowione i bardziej wygodne, no i zaczęto znośniej palić w piecach. Na korytarzach i w poczekalniach **po dawnemu panuje półmrok,** bo się oszczędza światła. Ale co jest charakterystyczne, że wnet po tej zmianie „kierownik sekcji naukowej" obchodził grupy uczących się i wychwalał pod niebiosy i „pana ministra Starzyńskiego" i „pana dyrektora doktora Biłka"...

Bardzo to pięknie ze strony Stowarzyszenia Młodych Słowian, że w **sposób iście wschodni czci i wielbi dobroczyńców swych z Magistratu i Inspektoratu Szkolnego,** ale czyż taki powinien być stosunek Wydziału IX Oświatu i Kultury Zarządu Miejskiego w m. st. Warszawie do organizacyj oświaty pozaszkolnej? Czyż zrzeszenia te za słabo opalany lokal mają drżeć wobec cienia pana dyrektora doktora Biłka?

Faktem jest, że Stowarzyszeniu Mł. Słowian, na którego kursach kształci się w znajomości języków dużo inteligencji polskiej (80% z cenzusem akademickim), posiada lokal stary, podczas, gdy nie 800 słuchaczy, ale, powiedzmy szczerze niepełna **setka dokształcanych analfabetów, dysponuje pięknymi nowoczesnymi lokalami z centralnym ogrzewaniem i właściwym oświetleniem... w „uniwersytetach ludowych".**

Faktem jest, że to samo Stowarzyszenie **posiada około 16.000 książek i broszur w pakach i nie może ich oddać do użytku bezpłatnego zainteresowanych, bo wydział IX nie daje na ten cel lokalu.** Prędzej może by znalazł się lokal na klub ping - pongowy, aniżeli na bibliotekę i czytelnię dla inteligencji...

A tymczasem w takiej np. Czechosłowacji analogiczne placówki chociaż mniej pracują, — są i subwencjonowane, mają lektorów płatnych, mają lokale przyzwoite i tego rodzaju praca oświatowa jest popierana.

To nie sztuka, aby istniała u nas organizacja oświatowa subwencjonowana. Ale **sztuką właśnie jest utrzymywać placówki prawdziwie społeczne i filareckie, które same z siebie dla kultury pracują,** które nie żerują na subwencjach, które nie obciążają ani budżetów gminnych, ani państwowych, które pracują i groszakami składkowymi kształcą rok rocznie wiele setek inteligentów i które pracują w myśl rozkazu Marszałka Rydza-Śmigłego, rozszerzając Polskę w zwyż i wszerz.

Na czele Stowarzyszenia Mł. Słowian stoi nie polityk, nie karierowicz, ale poeta, tłumacz, slawista, prawdziwy naukowiec, który w swym dorobku ma już kilkadziesiąt broszur i prac drukowanych oraz studiów naukowych, doktór prawa i doktór filozofii, a przy tym adwokat, Jerzy Pogonowski. W Stowarzyszeniu Mł. Słowian **pracują gorliwie Jugosłowianie, Bułgarzy, Ukraińcy, Rosjanie i inne narodowości. Są to wszystko polonofile.** Nie wysuwają się naprzód. Nie krzyczą o swych zasługach. Krzewią cicho i ofiarnie słowianoznawstwo, unikając polityki i sporów wyznaniowych.

Ta praca zasługuje na uznanie i na jak najlepszą i najczulszą opiekę ze strony Wydziału IX Oświaty i Kultury.

A możeby tak spróbował osobiście zlustrować tę pracę Pan Prezydent Starzyński, a możeby się kiedyś pofatygował i Pan Dr. Biłek.

Dziwne to, kiedy społecznicy - oświatowcy, pracujący bezinteresownie w imię popularyzacji polskiego słowianoznawstwa, drżą przed cieniem... magistrackiego urzędnika w Warszawie! I to się działo i dzieje w roku Pańskim 1937!

Ten.

Co dnia łyżkę rycyny...

Głos rozpaczy maltretowanego kinomana

Otrzymaliśmy następujący list, który poniżej drukujemy w całości, wierząc, że autor listu tego nie jest odosobniony w swych słusznych skargach:

Szanowny Panie Redaktorze.

Jako stały czytelnik tyg. WIEM WSZYSTKO pozwalam sobie prosić Pana Redaktora o łaskawe opublikowanie na łamach Jego poczytnego wydawnictwa, następujących uwag.

Tak się złożyło, że w ub. tygodniu cztery razy, dzień po dniu byłem w czterech kinach stołecznych, na czterech oczywiście różnych filmach. Niestety, jak wiadomo, oprócz właściwego, długometrażowego filmu, kina warszawskie wyświetlają szereg dodatków krajowych, tygodników aktualności i kolorówek, nie mówiąc już nic o tragicznych reklamach, które przemawiają do widza okropnym głosem jakiegoś niesamowitego speackera.

I oto w czterech różnych kinach, płacąc pełną cenę biletów, musiałem oglądać dzień po dniu jednakowe tygodniki aktualności PAT'icznej i jednakowe dodatki o „świątkach", wyprodukowane przez p. Dromlewiczową i p. Biskiego. Rad nie rad muszę pogodzić się z oglądaniem, zamiast doskonałych aktualności Fox'a czy Paramount'u, ponurych bzdurstw PAT'icznej. Jestem karnym obywatelem Rzeczypospolitej i befel jest dla mnie befel.

Wydaje mi się jednak, że dodatek p. Dromlewiczowej i p. Biskiego jest imprezą zdecydowanie prywatną, więc na jakiego diabła mam co dzień te „cudeńka" oglądać, jeśli ani mnie, ani (wnioskując po sykaniu i tupaniu olbrzymiej większości widowni) innych nie interesują one. Przyznaję, że film wspomnianych producentów może mieć wielkie walory dydaktyczne i pedagogiczne dla młodzieży szkolnej, ale po co go pokazywać starym ludziom, którzy przyszli do kina szukać nie tyle nauki, ile rozrywki.

Coprawda jeden ze znajomych filmowców tłumaczył mi, że jest to dodatek propagandowy, no, ale w takim razie wyświadcza on typowo niedźwiedzią przysługę temu, kto go dla akcji propagandowej zamówił. Jest nudny, nie ciekawy i nie przekonywujący, a wyświetlany jednocześnie w kilku kinach wywołuje efekt analogiczny do... ostrzy „Polo", które „idealnie golą" — wolałbym nosić brodę do kolan, niż kupić takie „reklamowane" ostrze „Polo" i wolę zamrzeć jako najciemniejszy człowiek, niż po obejrzeniu dodatku p. Dromlewiczowej i p. Biskiego pójść do muzeum, aby zachwycać się tam egzotycznymi świątkami.

Ponieważ jestem przeświadczony, że w swej ocenie wyżej przytoczonych faktów nie jestem odosobniony, proszę najuprzejmiej p. Redaktora o łaskawe opublikowanie niniejszego listu, za co zgóry dziękując, łączę wyrazy szacunku i poważania.

Dr Konstanty M."

Redakcja naszego tygodnika nie raz już zabierała głos w tych sprawach. Jednakże istnieją widocznie jakieś utajone siły w „czarnej sotni filmowej", które każą tolerować podobne niechlujności, wywołujące słusznie coraz goretsze protesty publiczności, mimo tych wszystkich szykan, uczęszczającej do kin warszawskich.

Od Wydawnictwa

OD NUMERU NINIEJSZEGO POCZĄWSZY „WIEM WSZYSTKO" UKAZYWAĆ SIĘ BĘDZIE NA MIEŚCIE W ŚRODY, A NIE W PIĄTKI, JAK DOTYCHCZAS.

WIEM WSZYSTKO jest pismem ludzi odważnych

Gdybym...

Małe słówko: „gdybym", małe a jakże wiele znaczące, jak ważkie.

Spotykamy się z nim omal, że codzień, w rozmowach, w domu, na mieście, w kawiarni, w sklepie, u fryzjera — wszędzie. Ba, nawet dość często spotykamy je w gazetach, w reportażach, w wywiadach.

„Gdybym" miał na naukę, to...", gdybym miała pieniądze, to...", „gdyby mi się udało, to...".

Co idzie za tym słówkiem „gdyby"?

Dużo, bardzo dużo pragnień, marzeń, pożądanych celów.

Ekspedientka ze sklepu mówi: Gdybym mogła się uczyć w szkole dramatycznej, dostałabym się na scenę albo do filmu.

Urzędnik mówi: gdybym miał pieniądze, założyłbym własne przedsiębiorstwo. Kontroler tramwajowy zwierza się: gdybym mógł sobie pozwolić na kilkanaście miesięcy nauki na kursach, dostałbym posadę mechanika. To samo mówi szofer taksówki, to samo powtarza manicurzystka, biuralistka, technik, aplikant adwokacki, wszyscy, którym się widzi lepsza od dotychczasowej przyszłość, owocniejsza praca, lepsze zarobki, samodzielność.

Nie wszyscy zdają sobie jednak sprawę z tego, jak można sobie pomóc. Nie wszyscy wiedzą lub pamiętają o tym, jak to kilka miesięcy temu pani K., skromna pracowniczka biurowa, dzięki wygranej na Loterii Państwowej, zdołała osiągnąć upragniony cel: założyła własny sklep, który się dobrze rozwija.

A o tym właśnie powinni pamiętać wszyscy, którzy żaląc się na swój los, smętnie, nieporadnie powtarzają: „gdybym miał tobym...". Niechaj, pamiętając o dużej możliwości wygranej na Loterii Państwowej, wezmą los do pierwszej klasy trzydziestej ósmej Loterii, a przekonają się, że Fortuna nie jest tak ślepa, jak ją o to posądzają.

N.

Za lat sto...

Słownik geograficzny w rozterce z abecadłem

Wśród wielkich polskich prac naukowych dziewiętnastego wieku, chlubnie świadczących o talentach badawczych i uzdolnieniach organizacyjnych uczonych Polaków zdanych podówczas na własne prywatne siły, — wyróżnia się dotąd szesnastotomowe dzieło zbiorowe, opisujące całość historycznych ziem polskich i stan ich zaludnienia p. t. **„Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich"**, wydany w Warszawie od r. 1880 do r. 1895, pod redakcją **B. Chlebowskiego, J. Krzywickiego, F. Sulimierskiego i W. Walewskiego.**

Z przykładną punktualnością ukazywały się w swoim czasie, co miesiąc, zeszyty pięcio - arkuszowe tego słownika, popartego czynnie od 1-go tomu przez 2.000 prenumeratorów, oraz od 10-go tomu zasiłkiem Kasy im. Mianowskiego. Słownik ten skupił przeszło 150 osób rozmaitych współpracowników.

W ogólnej sumie kosztów wydawnictwa **pierwszego monumentalnego słownika polskiego geograficznego,** wynoszącej do 110.000 rubli, wydatki redakcyjne stanowiły około 30% zaledwie, i kończąc w r. 1897 czternasty tom słownika (pozostałe dwa wydane w latach 1900 — 1904 i oznaczone jako część I i część II tomu piętnastego, stanowiły już tylko suplement, od A do Z, do całości, również opracowanej w ścisłej alfabetycznej kolejności nazw geograficznych), — mogła redakcja słownika, nie bez dumy, stwierdzić, że „dzięki życzliwemu poparciu przez prasę „Słownik", mimo rozmiarów swych i połączonych z nimi kosztów nabycia, rozchodził się dość pomyślnie, tak że niedobór wydawnictwa uzupełniony przez ś. p. W. Walewskiego (w dwóch trzecich) i Kasę Mianowskiego (w jednej trzeciej) wyniósł tylko 21.000 rubli, które rozprzedaż kompletów dzieła pokryje zapewne".

Przygotowania do rozpoczęcia słownika przed pięćdziesięciu dziewięciu laty, trwały... dwa lata. W roku przyszłym właśnie minie lat sześćdziesiąt od daty, gdy w roku 1878 redaktor i właściciel „Wędrowca", **Filip Sulimierski,** śmiały inicjator przedsięwzięcia ogłosił w tym tygodniku, poświęconym podróżom i geografii zamiar opracowania **treściwego dwutomowego** „słownika geograficzno-statystycznego" ziem polskich. Późniejszą nazwę dzieła podyktowały względy cenzuralne, a ochota, zapał, poświęcenie i wytrwałość współpracowników, których zdołał odszukać i skupić Sulimierski z najbliższymi towarzyszami tej pracy — dokonały reszty. Z 2-ch tomów urosło szesnaście i słownikarska kompozycja dzieła powstała w całkowitej zgodzie z pierwotnym planem i założeniem.

Nie może być dwóch zdań o potrzebie reedycji, po trzydziestu — i jakich w dziejach Polski, latach! Tego wyczerpanego dziś w handlu księgarskim podstawowego zbioru wiadomości geograficznych, krajoznawczych i statystycznych o ziemiach polskich. Ale cóż — **tamci byli entuzjaści, amatorzy, dyletanci...** Prawdziwego uczonego cechuje powaga, spokój, fobia wszelkiego pośpiechu.

W roku 1929, w Poznaniu na Pierwszym Ogólnopolskim Kongresie Krajoznawczym, zapada uchwała w sprawie **Słownika Geograficznego Państwa Polskiego i ziem historycznie z Polską związanych.** Po dwóch latach, w r. 1931, Słownik ten... zaczyna się opracowywać. Zostaje zwołany, już nie kongres krajoznawczy, lecz **specjalny zjazd** przedstawicieli kilkudziesięciu instytucyj naukowych, który wyłania „ciało redakcyjne".

Oto, zgodnie z urzędowym prospektem, po sześciu latach **konsystencja organiczna tej nadpracy przedwydawniczej:** Zjazd, Rada Redakcyjna, Komitet Redakcyjny, Redaktor Naczelny, Biuro Redakcyjne, Pracownicy Naukowi Biura, Redakcja i Administracja, Konto Czekowe P. K. O. — Polskie Towarzystwo Krajoznawcze i zdaje się, jeszcze, — Współpracownicy, których wymieni „Wstęp", załączony do... ostatniego zeszytu I-go tomu.

W poszukiwaniu 1-go zeszytu, obwieszczonego już jakoby na falach eteru, na jakimś „kwadransie", dzieła monumentalnego, — wszczynamy pielgrzymkę po księgarniach.

„Ciemno wszędzie, głucho wszędzie...". **Coś się robi — ale poszukiwany obiekt najwidoczniej żenuje się, czy wstydzi, u licha!** Taki duży, chłopaki w tym wieku rwą się do szkoły, a płód wiadomego Ciała po prostu nie chce być **czytanym. Rynek** księgarski — fe... Tylko przez P. K. O., na konto czekowe Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego **należy wpłacać zgóry należność za 10 zeszytów, aby otrzymać, kiedyś, jeden I-szy tom.**

Na koniec w pewnej bibliotece państwowej trafiamy na prospekt słownika, którego treść tłumaczy w zupełności określenie nasze rozterki... z abecadłem. Primo, z elementarnymi zasadami rozpowszechniania i propagandy książki użytecznej i niezbędnej, jak głosi prospekt, — dla władz, państwowych i samorządowych, szkół, nauki, prasy, organizacyj gospodarczych i społecznych, instytucyj kulturalnych i oświatowych, turystów, sportowców i każdego, kto interesuje się krajem.

A księgarz — to kupiec, nie „władza" i rzadko sportowiec... Kto ma długie i szybkie nogi — **niech śpieszy do Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego** i tam, na miejscu, ten pierwszy zeszyt po siedmiu latach spłodzony, ze czcią należną ogląda...

Secundo, coś nie w porządku z abecadłem już zupełnie poprostu. Dzieło wprawdzie nosi tytuł — słownika, ale każdy tom będzie zawierał po jednym lub parę województw oraz szmat przyległy za graniczny. Więc tytuł I-go tomu brzmi wyraźnie: **„Pomorze — Prusy"** — peo i peer... jak w „prawdziwym" słowniku. Po wieloletnim parcelowaniu w 9-ciu „wielkich" tomach geograficznych nazw polskich województwami, regionami wewnątrz kraju i połaciami historycznych ziem „odkomenderowanych" do odpowiednich obecnych województw, czytelnik będzie nagrodzony — w 9-tym tomię, **w drugiej gdzieś połowie XX-go wieku** „dokładnym indeksem wszystkich haseł zawartych w całym wydawnictwie".

I, tertio, — rzecz najistotniejsza dla płatnika „ulgowej" ceny 27 złotych zgóry za I — tom wydawnictwa, **z dobrodziejstwami pauz i ślimaczenia się, zdaje się, rekordowymi** (baczność, **sportowcy!**), — czytamy jeszcze w prospekcie: „Kolejność wydawnictwa poszczególnych tomów jako też zgrupowanie terytoriów może ulec zmianie".

Tak, tak, panie dobrodzieju, wojna może być... Świat do góry nogami się przewraca, a my kryci. Jak wszystko będzie na opak, to i „Polskie Towarzystwo Krajoznawcze" dokończy czy wykończy swój słownik właśnie od Z do A!

Giez.

Dziwy „sądu arbitrów"

Działalność zamaskowanego kartelu perfumeryjno-mydlarskiego

WIEM WSZYSTKO niejednokrotnie już występowało przeciwko szkodliwości karteli. Dzisiaj mamy do zanotowania nowy, ukryty kartel, którego działalność tym jest szkodliwsza, że **dotyczy ona bezpośrednio zainteresowanych konsumentów, —** a więc prawie całej ludności Warszawy. Istnieje mianowicie w stolicy instytucja o przydługiej nazwie, która — pod pozorem obrony interesów właścicieli składów aptecznych, perfumeryjnych oraz mydlarskich — przynosi **największą szkodę** zarówno większości tychże właścicieli, jak i przede wszystkim publiczności.

Jest to Międzyzwiązkowa Komisja Handlu Artykułami Perfumeryjno - Kosmetycznymi i Mydlarskimi, która jednoczy 6 organizacyj branżowych, a mianowicie: 1) Związek Drogerzystów Rzplitej w Poznaniu, 2) Towarzystwo Drogistów Polskich, 3) Stow. Właścicieli Składów Aptecznych, 4) Sekcja Perf. - Kosmet. przy Centrali Związku Kupców, 5) Koło Mydl. - Fabr. przy Centrali Detal. Kupiectwa Chrześcijańskiego oraz 6) Sekcja Mydlarska przy Centrali Detalicznej i Drobnych Kupców.

Jakaż jest działalność tej dziwnej „komisji"? Otóż istnieje szereg artykułów perfumeryjnych i mydlarskich codziennej potrzeby (mydła, pasty do zębów, mydła do golenia etc.), wyrabianych przez poważne zakłady przemysłowe, które mogą być dostarczane do sprzedaży detalicznej jedynie członkom tych organizacyj kupieckich, zrzeszonych w „komisji", pod warunkiem, aby i detaliści byli członkami Komisji, legitymującymi się specjalnymi dowodami. Zostało to ustalone na podstawie pewnego rodzaju konwencji, podpisanej między ową „komisją", a takimi firmami, jak: **Fr. Puls, „Elida", Warszawskie Laboratorium Chemiczne, L. Spiess, „Dobrolin", Laboratorium M. Malinowskiego,** szeregiem najpoważniejszych firm poznańskich etc.

Cała kombinacja polega na tym, że właściciele drogeryj, składów aptecznych i mydlarń, należący do komisji, **zobowiązują się nie sprzedawać artykułów po cenie niższej od ustalonej.** Dotychczas nieraz zdarzało się, że jakiś „znormalizowany" artykuł, cena którego wyznaczona była na 80 groszy, można było nabyć za 65 gr., bowiem właściciel mydlarni czy składu aptecznego uważał, że może ów artykuł oddać w tej cenie bez szkody dla siebie, a nawet z zyskiem.

Dzisiaj stało się to niemożliwe. Międzyzwiązkowa Komisja **wysyła na miasto swoich agentów,** którzy starają się u członków „komisji" kupować towary „znormalizowane" po niższej cenie. Jeśli któryś ze sprzedawców, nie wiedząc oczywiście, że ma do czynienia z wysłannikiem swojej „organizacji", ulegnie naleganiom i **opuści z ceny bodaj 5 groszy, spotyka go „sąd arbitrów"** i wedle widzimisię tych panów zostaje pozbawiony towaru na przeciąg kilku miesięcy.

Wypada bowiem zaznaczyć, że przemysłowcy perfumeryjno - kosmetyczni, przystępujący do owej „komisji", **zobowiązują się pisemnie** do ścisłego przestrzegania uchwał owego sądu i do niedostarczania towarów „znormalizowanych" detalistom, znajdującym się na czarnej liście. Sprawa jest o tyle niebezpieczniejsza, że taki „sąd arbitrów" **może się stać łatwą bronią dla utrącania placówek detalicznych,** stanowiących konkurencję dla członków owego „sądu"!

Nie o to jednak idzie w tej chwili. Należy walczyć z zasadą. Międzyzwiązkowa Komisja, stosując ten teror do swoich członków, twierdzi, że **broni w ten sposób cen „gospodarczo uzasadnionych".** Nie trzeba być bardzo domyślnym, aby zrozumieć, że jest to tylko czczy frazes. Skoro drogiści i mydlarze mogli oddawać klientom jakiś artykuł za 65 groszy zamiast 80, nie tracąc przy tym zarobku — bo przecież **trudno kupców posądzać o filantropię** w tak szerokim zakresie! — nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ceną „gospodarczo uzasadnioną" jest 65 groszy, a nie terorem windowana cena 80 groszy! Nie mówiąc już o tym, że wyższa cena niewątpliwie wpływa ujemnie na popyt tych artykułów. Dzieje się to więc z wyraźną szkodą dla sprzedawcy, jak też i konsumenta.

Nie można się ostatecznie dziwić, że właściciele składów detalicznych, dbając o swój (źle zresztą zrozumiany) interes, starają się za pomocą przymusu skłaniać się wzajemnie do utrzymywania wysokich cen, nie zrozumiałe jest natomiast, że tak poważne placówki, jak Puls, Spiess, „Elida", Malinowski i Warsz. Laborat. Chemiczne dały się lekkomyślnie wciągnąć w dziwną, a zarazem szkodliwą akcję międzyzwiązkowej „komisji", ale jeszcze bardziej zdumiewające jest, że miarodajne władze państwowe, które z taką gorliwością zabrały się ostatnio do likwidowania karteli, **tolerują ten kartel ukryty,** który ani formalnie nie jest zarejestrowany, ani nie posiada zalegalizowanego statutu, ani też nie zdał życiowo egzaminu dojrzałości, i w ogóle istnieje jedynie prawem kaduka, ku wyzyskowi konsumentów, a więc najszerszej publiczności!

Możnaby się jeszcze ostatecznie pogodzić z istnieniem niezalegalizowanej instytucji, gdyby miała ona na celu wręcz przeciwnie, przestrzeganie interesów najszerszych warstw społeczeństwa, a więc **walkę z lichwą w dziedzinie perfumeryjno - kosmetycznej.** Tymczasem jednak jest odwrotnie.

Konsument.

Od Redakcji

Artykuły nasze p. t. **„Polacy nas nie lubią"** i **„Czy jest pan mężczyzną"** wywołały wielkie wrażenie wśród kolonii czechosłowackiej w Warszawie.

W związku jednak z tymi artykułami poczuwamy się do kategorycznego stwierdzenia, że nie ma z nimi nic wspólnego **p. I. Szipka,** osobiście nawet nam nie znany.

Tydzień ubiegły

Prawie bez echa przeszło wystąpienie w Lidze Narodów kaukazkich narodów, ujarzmionych przez Moskwę.

Uwagę świata przykuła mowa Hitlera i... zaabsorbowały mrozy. Nie wielu zapewne zwróciło uwagę na argumenty przedstawicieli narodów kaukazkich. Argumenty te jednak są tak interesujące, że warto je, choć w skrótach przytoczyć:

„Na porządku dziennym bieżącej Rady Ligi Narodów znajduje się również i zagrażająca pokojowi Europy — sytuacja w Hiszpanii. Szeroko udokumentowany materiał fotograficzny, niezbicie dowodzi, że ZSSR jest stroną wojującą na terenach Hiszpanii, dokąd wysłał swoich oficerów i żołnierzy, tanki, karabiny maszynowe, aeroplany i amunicję.

Liga Narodów Ujarzmionych przez Moskwę (Azerbeidżan, Don, Gruzja, Ideal - Ural, Ingria, Karelia, Komi, Krym, Kubań, Północny Kaukaz, Turkiestan i Ukraina) uważa za swój obowiązek zwrócić się z prośbą do Rady Ligi Narodów, żeby zechciała wojnę w Hiszpanii nie traktować tylko formalnie, lecz aby przeanalizowała te fakty historyczne, które poprzedziły zbrojne wystąpienie komunistycznej Moskwy w Hiszpanii, zgodnie z jej ideą rewolucji światowej.

Analiza historyczna wypadków w Hiszpanii, gdzie w ciągu długich lat nieprzerwanie pracowali agenci Kominternu, wyjaśnia dobitnie, że wojna w Hiszpanii ma swoje źródło w niezałatwionym problemacie Europy Wschodniej. Istotą tego problematu jest podbicie i zbrojna okupacja przez Moskwę komunistyczną naszych narodów i ich terytoriów.

Na to prawdziwe, istotne źródło wypadków hiszpańskich mamy zaszczyt zwrócić uwagę i przypomnieć Radzie Ligi Narodów okrutny los naszych narodów pod jarzmem komunistycznej Moskwy. Mianowicie: natychmiast po powstaniu Ligi Narodów nasze narody były pierwsze, które po skorzystaniu z prawa samostanowienia i po ogłoszeniu niepodległości swoich państw, przywitały jak najgoręcej proklamację paktu Ligi Narodów o panowaniu prawa w stosunkach między narodami zamiast przemocy. Nasze narody były też pierwsze, które uwierzyły w hasło Ligi Narodów: powszechnego rozbrojenia.

W pakt Ligi Narodów, w hasła rozbrojenia, sprawiedliwości i pokoju nie uwierzyła ówczesna komunistyczna Moskwa, wyśmiewając Ligę Narodów, jako ostatnią twierdzę reakcji i burżuazji, która wkrótce skapituluje przed zwycięską rewolucją światową pod przewodnictwem Kominternu.

Pierwszymi ofiarami tej walki Moskwy przeciwko Lidze Narodów stały się nasze narody. Pomimo wyraźnego uznania przez komunistyczną Moskwę Państwa Ukraińskiego, Gruzińskiego, Azerbeidżańskiego, Północnego Kaukazu i t. d., państwa te zostały napadnięte przez Moskwę bez wypowiedzenia wojny.

Pomimo apelów o pomoc do Ligi Narodów przed gwałtem komunistycznym, pomimo apelów do opinii publicznej i jej sumienia, — nasze narody żadnej pomocy nie otrzymały.

Ta bierność umożliwiła komunistycznej Moskwie zbrojną okupację naszych narodów i ich terytoriów i dała jej podstawę ekonomiczną dla realizacji swych dążeń do rewolucji światowej. A mianowicie: z Ukrainy rabuje Moskwa zboże, cukier i węgiel, z Kaukazu naftę, mangan, z Karelii drzewo, z Turkiestanu bawełnę, a na bogactwach Ideal - Uralu buduje cały swój przemysł wojskowy.

W taki sposób rabując i wykorzystując cudze bogactwa naturalne, Moskwa komunistyczna już 17 lat niepokoi cały świat swą propagandą komunistyczną i nie daje mu przyjść do równowagi i pokoju. Wypadki hiszpańskie są tylko ostatnim ogniwem w nieprzerwanej działalności Moskwy, dążącej do światowej rewolucji komunistycznej".

W piśmie swym, przedstawiciele narodów kaukazkich, opierając się na oświadczeniu Litwinowa w dyskusji nad plebiscytem w Saarze, że „jest to sukces samostanowienia narodów", domagają się od Ligi Narodów zastosowania tej zasady do narodów kaukazkich.

Marzyciele...

Ignis.

Czyżby naprawdę?...

...mniejszość żydowska bardziej życzliwym okiem zaczynała patrzyć na Hitlera? W tyg. ub. z okazji uroczystości związanych z czteroleciem rządów hitlerowskich w III-ej Rzeszy najbardziej entuzjastyczne artykuły z całej prasy polskiej pojawiły się w koncernie t. zw. „czerwoniaków". Artykuły te, uzupełnione efektownymi fotomontażami, wyszły z pod pióra lejb - polityka „czerwoniaków" pana „ab".

...dyktatorka „mody i urody" w Warszawie przeżywała ponownie piękne dni młodości z uwodzicielskim Romanem, synem b właściciela małej mleczarni na Nowym Świecie? Interesującym jest fakt, że znakomity don Juan, nie dowierzając słowom swego „bóstwa", sprawdził datę jej urodzenia. Stwierdził, że rzekomo 38-letnia „bogini" urodziła się 14 marca 1886 r. Na tym tle powstały między „młodą" parą scysje, gdyż przemiły Roman nie zatrzymał tej wiadomości tylko dla siebie, delektując się zarazem w opisywaniu wdzięków swej wybranki. Wybranek tych zresztą było sporo, a przy tym wszystkie mocno zamożne. Metoda zaręczania się sygnetem okazuje się bardzo dobrą.

..miał się zrzec prezesury w „kanapowym" Słowiańskim Towarzystwie Kultury i Sztuki redaktor „Flory Polskiej" i znany poeta Radosław Krajewski, aby ustąpić swego miejsca gorliwszemu od siebie czechofilowi p. dr. Bolesławowi Kierskiemu, b. redaktorowi „Dziennika Poznańskiego".

...osławiony i wielokrotnie opisywany przez naszą prasę sekciarz bułgarski Piotr Pamporoff mógł się stać codziennym gościem Związku Akademickiego Porozumienia Międzynarodowego „Liga"? Pamporoff jest codziennym gościem klubu „Ligi" i gra rolę pokornego baranka, a akcję jego ma popierać nawet prezes p. Henryk Słowikowski? Pamporoff przecież nie jest studentem, skąd więc akademicka „Liga", będąca pod protektoratem MSZ, ma się zajmować interwencjami w MWRiOP na rzecz sekciarza - esperantysty, którego faktycznym zajęciem jest bezpłodne globtroterstwo?

Koleżanko Gincburzanko!

Nie bądźcie... Ginczanką

Zapieniony organ frontu ludowego i p. Tuwima, w walce utalentowanego poety, z tymi wszystkimi, którzy ośmielają się pod znakiem zapytania stawiać polskość twórczości p. Tuwima, tygodnik „Szpilki", udziela od pewnego czasu gościny tajemniczo sarmackiej poetce p. Ginczance.

Nie poświęcalibyśmy koleżance p. Tuwima tych kilkunastu wierszy, gdyby nie fakt, że młodziutkie sarmackie dziewczę, podjęło się ryzykownej funkcji wyjmowania swymi drobnymi rączkami... kasztanów z ognia. Nie potrzebujemy dodawać, że kasztany przeznaczone są dla luminarza „folksfrontu" i redaktora „Szpilek" p. Mitznera.

Pełni wyrozumiałości dla młodziutkiej poetki, zapytujemy ją uprzejmie, czy godzi się, aby sympatyczne dziewczę z modrzewiowego dworku, którego tatuś, o ile nam wiadomo, zasłużony Fajwel Gincburg przebywa w czerwonej Hiszpanii, mamusia Cywia Gincburg w czerwonej Rosji, a babcia Pesa Gincburg w dalekim Równem czy Kowlu, czy godzi się w tych warunkach wstydzić dźwięcznego, rodowego nazwiska na rzecz jakiejś tam... Ginczanki? Wiadomo, że goje i tak nie poznają się na „wierszach" koleżanki Ginczanki, ani jej sentymencie do... sarmackości, tak pięknie uwypuklonym w zmodyfikowanym nazwisku koleżanki zasłużonych Duczyków z pod znaku „Szpilek".

o-set.

Marnujemy nasze surowce

WIEM WSZYSTKO rozpoczyna ankietę o przemyśle chemiczno-farmaceutycznym

Niezwykle doniosłe dla całego kraju zagadnienie podniesiono na zjeździe naukowym oficerów służby zdrowia w Warszawie.

Zagadnieniem tym jest nasz przemysł farmaceutyczny.

Podniesiono przede wszystkim na zjeździe, że zupełnie niepotrzebnie sprowadzamy gotowe lekarstwa z zagranicy, jak również półfabrykaty. Sprowadzając wyroby obce lub półfabrykaty marnujemy zarazem nasze surowce. Zrozumiałe, jakie przez to straty ponosi nasza gospodarka narodowa.

Przemysł farmaceutyczny jest dziedziną niesłychanie doniosłą zwłaszcza podczas wojny. Tymczasem jednak na wypadek wojny ten przemysł nie jest dostatecznie przygotowany.

Wykazał to na zjeździe oficerów służby zdrowia płk. Jabłoński, szef wydziału zaopatrywania, w swym przemówieniu, zaznaczając, że do wygrania wojny nie wystarczy nam potencjał duchowo - patriotyczny przy braku odpowiedniego przygotowania materialnego.

Przygotowanie to będzie wtedy należyte, skoro oprze się je na naszych wyrobach wykonanych z własnego surowca i własną metodą przez krajowych wytwórców, a nie fabrykatach i półfabrykatach obcych.

Zagadnienie poruszone na zjeździe oficerów służby zdrowia jest tak wielkiej wagi, że WIEM WSZYSTKO w najbliższych numerach rozpocznie ankietę w sprawie polskości przemysłu chemiczno - farmaceutycznego w Polsce i możliwości wyeliminowania towarów obcych.

n.

Rozkoszny bal to...

Tegoroczny bal prasy w „Adrii"

Do najbardziej udanych zabaw tegorocznego karnawału, należy zaliczyć tradycyjny Bal Prasy, który odbył się w ub. poniedziałek dn. 1 b. m. w dolnych salonach „Adrii". W dniu tym, popularny dancing stolicy gościł bez przesady całą **elitę życia intelektualnego i towarzyskiego Warszawy.**

Jak zwykle spotkaliśmy na Balu Prasy szereg reprezentantów korpusu dyplomatycznego akredytowanego przy rządzie Rzeczypospolitej. Członkowie ambasad: francuskiej, amerykańskiej, włoskiej, sowieckiej oraz nieomal wszystkich poselstw rezydujących w Warszawie, w towarzystwie pięknych i pięknie ubranych pań, bawili się doskonale przy trzech pierwszorzędnych, a niezmęczonych zespołach jazzowych.

Równie licznie był reprezentowany świat artystyczny stolicy. Podziw, a niewątpliwie i odrobinę zazdrości wywoływały wspaniałe tualety **pp. Mary Mayer, Ireny Borowskiej, Ireny Wilczówny, red. Jouve, red. Karczewskiej, red. Kępliczowej, hr. Żółkiewskiej.**

Oprócz dziennikarzy stołecznych, z których wielu z talentem sprawowało trudne obowiązki gospodarzy, spotkaliśmy na poniedziałkowym balu nieomal wszystkich korespondentów zagranicznych, a także attaché prasowych placówek dyplomatycznych i przedstawicieli wydziałów prasowych Prezydium Rady Ministrów i M. S. Z.

Doskonałą zabawę zręcznie uzupełniał efektowny program karnawałowy, składający się, dzięki pieczołowitości Fr. Moszkowicza, z pierwszorzędnych atrakcyj krajowych i zagranicznych.

O powodzeniu, jakim cieszył się tegoroczny Bal Prasy, świadczy najwymowniej fakt, że chociaż ceny biletów były stosunkowo wysokie, już na tydzień przed tym **wszystkie stoliki w dolnych salonach „Adrii" były zamówione**, co nie przeszkadzało, że w ciągu całego czasu trwania zabawy, napływały coraz nowe fale gości, znajdując „schronienie" czy to w „szampańskim pawilonie", czy w „złotym barze".

Że wesoło było i przyjemnie w „Adrii" na tegorocznym Balu Prasy, świadczy o tym również i ten fakt, iż wielu uczestników, tej niewątpliwie pod każdym względem najbardziej udanej imprezy karnawałowej, opuszczało „Adrię" we wtorek... późnym rankiem.

Pod światło

Niezwykle pożyteczny miesięcznik „Echo Artystyczne" w nr. 1 ze stycznia r. b. przynosi m. in. rubrykę „osobiste", w której czytamy:

W dniu 30 grudnia 1936 r. o godzinie 9.30 w kościele Św. Krzyża w Warszawie odbył się ślub sekretarza Redakcji „Echa Artystycznego" i popularnego artysty widowiskowego, członka i sekretarza Zarządu „Polzawidu" kol. Edwarda Manca z Haliną Blondy — utalentowaną tancerką, również członkinią „Polzawidu".

Młodej parze Redakcja „Echa Artystycznego" składa serdeczne życzenia szczęśliwego pożycia małżeńskiego i dalszych artystycznych sukcesów.

W dniu 26 grudnia 1936 r. o godzinie 8 rano w kościele Wszystkich Świętych w Warszawie odbył się ślub artysty, członka „Polzawidu" kol. Pietruczuk Makara z p. Janiną Praszczałek.

I w tym wypadku Redakcja naszego pisma pośpiesza z życzeniami dla młodej pary.

My was nie podburzamy obywatelu Pietruczuk, ale żeby tam jakiś „piszczyki" wasz ślub z p. Praszczałek nazywali „wypadkiem", to granda oczywista. Niech obywatel „naparzy" redaktora, bo inaczej stracimy sentyment dla braci artystycznej i w ogóle członków „Polzawidu".

Stary Pies.

Dokąd warto, dokąd nie

„TANCERKA Z ANDALUZJI" (Operetka na Karowej). — Pewien jegomość ma młodą żonę, teścia i teściową, tudzież starą przyjaciółkę, oczywiście tancerkę. Tancerka jest hiszpanką, ma... Zresztą, my też! Tragizm sytuacji biednego widza, który wpadł na ten „spektakl" potęguje przekład p. Rapackiego i „aktualne" tudzież „polityczne" piosenki p. Burzyńskiego. Biedny Redo, biedny Ruszkowski, biedny strażak dyżurny za kulisami, biedni ci, którzy zapłacili za bilet chociażby... 1 zł.

„CO WOLNO WOJEWODZIE..." (Teatr „13 Rzędów). — Coś niedobrze jest z młodymi autorami z tak bardzo sympatycznego teatrzyku. Może to „gryper", którego nabawili się w „Szpilkach" a może tylko chwilowa niedyspozycja, dość, że trzeci z kolei program „13 Rzędów" jest beznadziejnie nudny i denerwujący przede wszystkim wszystkich tych, którzy cenią talent Andrzejewskiej, obsadzonej w tym programie w kryminałach odpowiednich dla... panny Balcerkiewicz, ale nigdy tej miary artystki, co Andrzejewska. Monolog Lawińskiego przy telefonie idiotyczny i wysoce arogancki. P. Krukowski mógłby wysilić się na zmianę repertuaru „radiowego", a p. Tom na zmianę... teatru. Ratuje sytuację Korjanówna, która jest niewątpliwą rewelacją i fenomenalnym talentem.

Widz.

„NOC PRZED BITWĄ" (kino Colosseum") Oto film, który stanowi najlepszą, najszlachetniejszą propagandę morza i marynarki wojennej, aczkolwiek nic w sobie nie posiada „propagandy" oficjalnej: Niechaj wybiorą się na ten film przede wszystkim twórcy naszej nieszczęsnej „Parodii Bałtyku". Niech posiedzą na kilku seansach. Może się czegoś nauczą. A normalni widzowie niechaj kupią bilet normalny, niechaj nawet dopłacą za taksówkę w czasie mrozu, ale niechaj nikt nie przepuszcza okazji ujrzenia jednego z najlepszych filmów ostatnich miesięcy. „Noc przed Bitwą" podług Claude Farrère'a jest najlepszą z dotychczasowych przeróbek filmowych tego słynego dzieła. Reżyser Marcel L'Herbier, który posiada swoją chlubną kartę w dziejach kinematografii europejskiej, wydobył z tego dzieła maksimum napięcia.

Na czoło wykonawców wysuwają się: Annabella (Jeanne), Victor Francen (komandor), i Gabriel Signoret (admirał), którzy dali prawdziwy koncert kunsztu aktorskiego. Również świetnie spisali się Pierre Renoir (Brambourk), Roland Toutain (Leduc) i Robert Vidalin (porucznik d'Artelles). Najmniej pola do popisu miała milutka Rosine Deréan w roli Alicji. Do najlepszych scen filmu należą: bitwa i sąd. Początek filmu trochę nuży z powodu hałaśliwości.

W sumie: film, który jest chlubą kinematografii francuskiej i, który każdy powinien zobaczyć:

„KOCHANA RODZINKA" (kino „Pan"). Stan Laurel i Oliver Hardy poszli w ślady prawie wszystkich swoich kolegów i wystąpili w podwójnej roli. W „Kochanej Rodzince" mamy dwu Flipów i dwu Flapów. Na tym tle skomponowano nader zręczną intrygę ,której liczne perypetie i qui-proquo rozweselają do rozpuku widownię, składającą się w lwiej części z dzieci i młodzieży.

„TYDZIEŃ PRZED ŚLUBEM" (kino „Rialto"). Kino „Rialto" jest jednym z nielicznych przybytków Dziesiątej Muzy naszego miasta, które stara się utrzymać linię repertuarową. Ma to swoje dobre strony, bo każdy zgóry wie, co w tym kinie czeka, ale z drugiej strony repertuar składający się z nie złych nawet, ale widocznie powtarzających się filmików amerykańskich zaczyna nużyć. „Tydzień przed ślubem" jest jeszcze jedną odmianą banału, w którym milioner udaje lokaja, aby zaskarbić sobie miłość Kopciuszka. Reżyser filmu, Wiliam A. Seiter sam nie wiedział co ma z tym fantem począć, dla tego też film obraca się dookoła komedii, melodramatu, farsy i operetki, nie mogąc się zdecydować na jakiś ustabilizowany rodzaj. Herbert Marshall, Jean Arthur oraz Leo Carillo i Lionel Stander grają swoje role z taką dozą humoru, na jaką pozwalają słaby i banalny scenariusz oraz mdła reżyseria.

Nad program — kiepskie zdjęcia z Londynu oraz kolorówka średniej wartości. W sumie: program dość błahy. X.27.—

„Nitschevo"

Niebawem ukaże się na polskich ekranach film p. t. „Nitschevo" (krew na morzu) warszawskiego biura filmowego Kesten - Film.

Film ten, reżyserii Baroncelli'ego z Harrym Baur'em i Iwanem Mozżuchinem w głównych rolach cieszył się zagranicą wielkim powodzeniem. N.

Znów nadarza się okazja

Często się mówi, że okazja się nie powtarza. W różnych okolicznościach życia jest to niewątpliwie słuszne. Gdy człowiek ma okazję uzyskać posadę i z niej nie skorzysta, może na drugą taką okazję czekać miesiące albo nawet całe lata.

Gdy ma okazję wyróżnić się w pracy pilnością i pomysłowością, a właśnie się zaniedba — sam sobie winien. I w stu innych wypadkach raz wypuszczona z ręki okazja nie łatwo się powtarza.

Wyjątek pod tym względem stanowi Loteria Państwowa. W grze na loterii nie traci się nigdy. Wygrać można w każdym ciągnieniu, w każdej klasie. Wkrótce rozpocznie się ciągnienie I-szej klasy 38 loterii. Plan tej loterii został znacznie ulepszony, wprowadzono nowe wygrane i zwiększono ich ilość. Okazja więc nadarza się imponująca.

Należy tylko zawczasu zaopatrzyć się w los w znanej ze szczęścia kolekturze J. Wolanowa, Warszawa, Marszałkowska 154. Kto nie skorzysta, niech sobie sam winę przypisze.

K.

Tylko kilka słów o „dyplomatycznej żonie", które nikomu nie mogą być obojętne.

W poprzednich artykułach i notatkach, które niewątpliwie wpadły w ręce publiczności interesującej się filmem, pisaliśmy o korzyściach, jakie spłyną na rodzimy kinematograf w związku z ścisłą współpracą z zagranicą. Jak bowiem wiadomo „Dyplomatyczna żona" nakręcona będzie w dwóch wersjach z przeznaczeniem dla Polski, jak i dla rynku światowego.



W poprzednich notatkach wyraziliśmy nadzieję, że od technika do aktora polski zespół filmowy będzie miał okazję dowiedzieć się o niejednej pouczającej rzeczy. Ile w tym słuszności ,przekonały już pierwsze dni współpracy.

Punkt po punkcie zagraniczne wygi filmowe kompletują nasze atelier, wyposażając je w najnowocześniejszy sprzęt techniczny, którego domagają się z uporczywością ludzi, świadomych tego, iż film składa się z drobnych scen, przeto każda wymaga należytego wyposażenia pod każdym względem. Przeciwstawia się zagraniczna ekipa techniczna robieniu „na wiater" i na „jak Bóg da".

Śpieszymy donieść, iż już pierwszą widoczną korzyścią inicjatywy Polskiego Tobisu — pod którego auspicjami całe przedsięwzięcie się odbywa — jest rozbudowa atelier, uzupełnienie sprzętu technicznego, bez którego niema filmu.

O innych korzyściach — kiedyindziej.

K.

NARESZCIE INTERESUJĄCA PRODUKCJA POLSKA

Jak się dowiadujemy, nareszcie w przyszłym sezonie polscy producenci ukażą na naszych ekranach szereg interesujących tematów, których brak od tak dawna już dawał się odczuwać. Jedna z najpoważniejszych placówek krajowych, firma „Patria-Film", która zajmuje się eksploatacją niemal wyłącznie filmów polskich, zapowiada na najbliższą jesień następujące trzy filmy produkcji „Rex-Film": „Halka", wg. nieśmiertelnego dzieła Stanisława Moniuszki, „Robert i Bertrand", na podstawie słynnego wodewilu Nestroy'a, z Bodo i Dymszą w rolach tytułowych ,oraz jeszcze jedną komedię z Adolfem Dymszą.

Jesteśmy przekonani, że nareszcie liczne rzesze naszych kinomanów ujrzą filmy, które im się spodobają. K.



IRENA BOROWSKA

najbardziej utalentowana artystka młodego pokolenia, zyskała sobie szczere uznanie krytyki i widowni w kapitalnej sztuce Jarosława Iwaszkiewicza „Lato w Nohant", wystawianej z niesłabnącym powodzeniem w Teatrze Małym.

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.—. OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajnie 60 gr., w tekście 1,20 gr., nadesłane 1 zł.: Komunikaty 80 groszy. — Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Poznańska 38 m. 15, telefon 7.16-09. Administracja czynna codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 9-ej do 13-ej i od 15-ej do 18-ej. Konto w P. K. O. 60.078.

Redaktor: Henryk Sieciński. Wydawca: Wilhelm Tokarzewski.

Zakł. Graf. „DRUKPRASA", Nowy-Świat 54. Tel.: 615-56 i 242-40.